

Maciej Żytowiecki



Mój prywatny

DEMON

MACIEJ ŻYTOWIECKI
MÓJ PRYWATNY DEMON

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Maciej Żytowiecki 2013

Okładka Copyright © Maciej Żytowiecki 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-036-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała to książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Rozdział I – Całe mnóstwo martwych ludzi.....	4
Rozdział II – Powrót do służby.....	39
Rozdział III – Piękny dzień i piękne panie.....	66
Rozdział IV – Ciemna noc.....	99
ROZDZIAŁ V – Powroty.....	121
ROZDZIAŁ VI – Supeł.....	156
ROZDZIAŁ VII – W młynie.....	184
ROZDZIAŁ VIII – Końce i początki.....	221
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:.....	232

Rozdział I – Całe mnóstwo martwych ludzi

Miejsce wyrwane z koszmarów. Miękkie od wilgoci ściany to jego trzewia, a nadgniłe ciało leżące przede mną to jego niestrawiony posiłek.

Podłoga porusza się w rytm kroków ciężkich policyjnych butów. Pokój pulsuje, jakby oddychał, a jego smrodliwe tchnienie wdziera mi się w nozdrza, pomimo rozsmarowanej nad wargą nafty, i wywołuje zawrót głowy.

Ekipa kończy zabezpieczanie śladów. Zwijają się jak w ukropie, nie mogąc doczekać chwili, kiedy będą mogli wyjść na świeże powietrze. Jakiś krawężnik potrąca mnie niby przypadkiem, burcząc coś pod nosem. Łapię go za rękaw i przyciągam blisko, jak do pocałunku. Patrzy wściekle, dopóki nasze spojrzenia się nie skrzyżują. Wtedy spuszcza wzrok. Szarpie, próbując się wyrwać, ale bez przekonania. Nagle jest spocony, nagle przestraszony... Biedny frajer. Może nienawidzić mnie jak reszta, ale nic nie poradzi na to, że znowu jestem w siodle. Znowu pracuję i ja tutaj rządę.

– Przepraszam, szefie – duka w końcu, podnosząc głowę. Szukam w jego oczach szczerości, ale nic nie mogę wyczytać z tych małych, czarnych punkcików wielkości główki od szpilki. Mam ochotę zdzielić go przez łeb jak rozkapryszonego brzdąca.

– Do roboty, a nie plątać mi się tu – cedzę przez zęby.

Odpycham gnoja na bok i nie poświęcam mu więcej uwagi.

Kolejny zawrót głowy i...

Czuję ten dreszcz na plecach. Symptomy są aż nazbyt znajome. On zaczyna się budzić. Chce wyslizgnąć się spod ciepłego koca ciała i metalicznym głosem wydawać rozkazy. Podryguje niespokojnie w moich bebechach, aż czuję, jak

wszystko w środku się przewraca. Moje nogi miękną, jak gdyby zrobiono je z waty, pot występuje grubymi kroplami na czoło.

– Nie, nie teraz! – warczę.

Na miękkich nogach idę w kierunku okna. Jeden facet z ekipy jajogłowych patrzy na mnie z ukosa, zastanawiając się pewnie, czy ma mi zwrócić uwagę, bym niczego nie zdeptał. Zastyga ze zmiotką w jednej ręce i torebką w drugiej. Mruga zza grubych denek okularów rzęsami wielkimi jak zęby grzebienia. Wygląda głupio. Wzrusza w końcu ramionami, myśli: „Po co mi to?” – i opuszcza głowę.

Dopadam do parapetu. Łapię okiennice. Jak wszystko w tym gnijącym domu, tak i one stawiają opór. To mieszkanie nie chce gości. Chce powoli, do spółki ze szczurami, karaluchami i innym robactwem, trawić trupa. Wciągać go w siebie jak opary opium. Nie w smak mu, że przyszliśmy.

Przeklęte okno. Zamknięte na amen i nawet nie drgnie, a ten popapraniec, który siedzi w mojej głowie, miota się coraz gwałtowniej. Wrażliwiec, nienawidzi zapachu ludzi, a co dopiero smrodu ich nadgniętych zwłok.

Chyba odstawiam niezłe widowisko? Nie muszę się odwracać, i tak wiem, że prawie każdy się na mnie gapi. Ezra wymiękł na stare lata. Po cholere przywracali do pracy tego pierdziela? Pijacka menda, przez którą każdy mundurowy wygląda źle, skaza na błyszczącej odznace policji naszego miasta. I bez niego ludzie na nas pluli, wypominając, że gliniarzom wolno wszystko. Najlepiej niech wyskoczy przez okno i oszczędzi nam widoku swojej parszywej gęby.

Przestaję oddychać nosem. Haustami łapczywie połykam powietrze, starając się być obojętnym na odór. Szarpię i szarpię, jakby moje życie zależało od otwarcia tego okna. Mam gdzieś, czy patrzą, czy gadają. Niech patrzą, niech mówią, byle tylko On się nie rozbudził.

Trach! Słyszę, jak coś pęka. Okiennica szybuje do góry. Powiew zimnego powietrza migiem przegania cały syf i za chwilę jest tylko zimny letni wieczór, woń miasta, olejów i benzyny.

Wdycham to wszystko zachłannie, bo to perfumy mojego miasta.

Nerwowo szukam po kieszeniach paczki samosiejki od Cyganów. Wyciągam z niej jednego skręta i zapalam srebrną zapalniczką, którą dostałem kiedyś od ojca. Dym koi płuca, nerwy i diabły. Przy drugim papierosie jestem całkiem spokojny. Wypuszczam dym, który jak mgielka unosi się nad zarzuconym nocną płachtą miastem. Oglądam ten cały show kolorowych świateł i wsłuchuję się w kakofonię uwiecznionych w ulicach automobili, Fordów T i Taunusów, Pięćsetek i innych, których z wysokości nie rozpoznaję. Tłumy ludzi na chodnikach gnają jak mrówki w korytarzach mrowiska; każdy skupiony, żeby przeć naprzód w tej żywej rzece.

Lustruję okna pobliskich budynków. Te rozświetlone i te ciemne. Tam mieszkańcy miasta śpią, ufając, że ochronimy ich przed zbrodnią. Nie wiedzą nic. Nie mają pojęcia, jak wygląda prawdziwy świat... I lepiej, żeby tak zostało.

– Cholera. – Poznaję auto, które parkuje pod blokiem. Doskonale wiem, kto zaraz z niego wysiądzie.

– Ezra, musisz pogadać z jednym z sąsiadów – z zamyślenia wyrywa mnie głos Pollocka.

Dobry, stary Pollock. Mój partner. Jedyne człowiek, którego mógłbym nazwać przyjacielem, jeśli kiedyś zdobyłbym się na tak patetyczne określenie łączącej nas więzi.

– Pollock, podejdź – rzucam przez ramię.

Wskazuję na zaparkowany pod drzwiami pojazd. Zdażył akurat, żeby zobaczyć zgrabną nogę opiętą błyszczącym nylonem, a zaraz później charakterystyczny, łaciaty kapelusz dziennikarki.

– Jakim cudem dowiedziała się tak szybko? – pytam. Nie odpowiada. – Mamy w ekipie szczura.

Pstrykam niedopałkiem na zewnątrz, a on frunie jak skarłala kometa sypiąca z ogona iskrami, aż rozbija się na masce samochodu. Kobieta patrzy w górę, a my odruchowo cofamy się do środka.

– Dalej masz niezłe oko. – Pollock szczyrzy zęby.

– Celowałem w kapelusz.

We dwóch idziemy przez pokój, mijając nadgniętego trupa leżącego pośrodku czarnej plamy rozpuszczonej skóry. Bezzębna szczeka zdaje się uśmiechać do nas, ale ogromne martwe oczy nie błyszczą radością. Są puste jak źrenice każdego trupa, jakiego widziałem. Wszyscy po śmierci widzą nicłość.

Pollock staje w drzwiach. Robi znak krzyża. Jest bardzo wierzący, naprawdę dobry z niego człowiek, modelowy policjant. Kto wie, może zostanie kiedyś politykiem, burmistrzem albo prokuratorem generalnym i wreszcie zaprowadzi tutaj porządek. Wystarczy spojrzeć na przystojną twarz i lśniące włosy. Pewnie za dwadzieścia lat przyprósza się siwizną na skroniach, dodając powagi i czyniąc go atrakcyjnym dla żeńskich wyborców w prawie każdym wieku. Natomiast perfekcyjny przebieg służby uczyni z niego bohatera, którego poprą faceci. Ideał, prawdziwy diament, gdyby nie jedna skaza... Ja.

Kiedy mnie zawiesili, powinien się cieszyć, że nie ściągnę go w dół jak kotwica przyczepiona do szyi, tymczasem pomógł mi wrócić do służby. Biedny frajer.

– Kolejna pracująca dziewczyna – oznajmia z przejęciem. – Siódma.

Kiwam w milczeniu głową, a on wskazuje na bezzębną szczekę trupa. To jak podpis.

– Ta – przytakuję. – Nasz człowiek nie zwalnia tempa.

– Kiedy go dorwę... – syczy Pollock. Nie umie ukryć, jak bardzo mu zależy.

– Co zrobisz? – wchodzę mu w słowo. – Powiem ci: odczytasz prawa, zaobrączkujesz i dopilnujesz, żeby włos mu z głowy nie spadł, zanim nie dojedzie na posterunek. A później przypilnujesz, żeby chłopcy nie za bardzo go wytarmosili podczas przesłuchań. Groźby w twoich ustach brzmią cokolwiek śmiesznie, partnerze. Zbyt porządny z ciebie facet na taką robotę.

– Spasuj, Ezra.

– Zajmij się lepiej tą rudą cizią, która już pędzi po schodach, gotowa zasypać nas pytaniami.

– A mundurowi przy wejściu do budynku?

– Mają rozum cegły, a ona jest cwana. Pewnie dawno ich wykiwała. Potrzebuję tam kogoś, kto da radę oczarować tę sunię, Pollock.

– W porządku. – Wzdycha. To zabawne, jak za każdym razem broni się przed rozmową z atrakcyjną kobietą. Zupełnie jakby złota obrączka na palcu zakazywała mu nawet tego.

– Ezra... – zaczyna, kiedy wychodzimy na korytarz.

– Ta?

– Zajrzyj do gościa spod szesnastki. Utrzymuje, że widział kogoś... Sam nie wiem, czy mu wierzyć, ty zdecydujesz. Może dowiesz się czegoś więcej. – Macha eleganckim notatnikiem obłożonym miękką kozią skórą. Mój, który leży teraz w kieszeni, zamknięty jest w tekturkach.

– Spróbuję.

– I, Ezra...

– Ta?

– Nie denerwuj się, kiedy będziesz z nim rozmawiał. Dość specyficzne z tego dziadka indywiduum.

Wzruszam ramionami i każdy idzie w swoją stronę. Pollock wkrótce znika za zakrętem prowadzącym na schody. Ja zatrzymuję się jeszcze na chwilę przy wejściu do mieszkania i spoglądam ostatni raz na bezzębne zwłoki dziwki.

– Na pewno masz lepiej niż ja – kwituję.

Idę korytarzem. Pasiaste tapety przypominają mokry sweter. Kropelki formują się na nich i ściekają ciurkiem, jakby ktoś za ścianą odkręcił kran. Ściągam wysłużoną Fedorę, przejeżdżam palcami po włosach i strzepuję z dłoni pot. Dlaczego tu jest tak cholernie gorąco, kiedy na dworze chłodna letnia noc?

Liczę numery na drzwiach. Lampy przymocowane do ścian pomrują ostrzegawczo raz za razem. Czuję, jak pod marynarką cały się lepnię, a ciężki Colt 45 wraz z kaburą przykleja się do boku.

Większość mieszkań jest opuszczona. Te wynajmowane na piętrze mogę policzyć na palcach jednej ręki. I dobrze. Zawsze mniej ludzi do przesłuchania, a przy sprawie o takim profilu nie stać nas na błędy. Myślę, że trzeba będzie też sprawdzić okoliczne budynki, nadać ogłoszenia do gazet i radia, a później zweryfikować każde najdurniejsze doniesienie. To oznacza kolejne nadgodziny, nieprzespane noce i całą masę rzeczy, o których wolę nie myśleć.

Wszystko na mojej głowie, czarnej owcy policji, która teraz powraca do służby w glorii bohatera. Fakt, może i mam najwięcej doświadczenia w takich sprawach, ale doskonale wiem, dlaczego szef ryzykuje posłanie starego Ezry tam, gdzie niucha prasa i gdzie, jak królika z kapelusza, ktoś może wyciągnąć sprawę Emmy Tallin...

– Policja! – Grzmocę pięścią w drzwi, aż te stękają z bólu.

Otwiera staruszek w okularach. Resztkę włosów, jaka mu pozostała, pieczołowicie zaczesał na łysinę, ale bezlitosne światło dodaje czaszce połysku, niwecząc cały trud. Uśmiecham się pod nosem.

– Patrzy pan na moją głowę? – pyta.

– Nie. Wcale nie.

Mruczy pod nosem, ale zaprasza do środka. Mieszka wśród starych mebli, koców i półek uginających się od książek, opatulony zapachem lekarstw i rycyny. Wskazuje na jeden z foteli wyłożony słomkową narzutą. Sam zajmuje identyczny naprzeciwko, splata pokrzywione palce i przygląda mi się z uwagą.

– To była dziwka – zaczyna.

– Słucham?

– Ta spod jedenastki – uściśla. – Wezwiecie kogoś do tego smrodu?

– Odpowiednie służby zostaną powiadomione. – Wyciągam postrzępiony notes i ołówek. Kartki trzymają się na słowo honoru, więc przewracam je ostrożnie, omijając rysunki i notatki z poprzednich zabójstw oraz spraw, które zamknąłem jeszcze przed powrotem do policji. Mam wrażenie, że kajet czekał na mnie przez cały ten czas.

– Imię i nazwisko?

– Moje? – Kiwam głową. Co za głupie pytanie. – Zachary Berkowitz, lat osiemdziesiąt, emeryt, kawaler. Pana kolega już wszystko zanotował.

– Jestem tu po to, żeby upewnić się, czy czegoś nie przegapił. Znał pan denatkę?

– Jak każdy porządny obywatel tylko z widzenia. – Robi minę, jakby właśnie zjadł coś niesmacznego, a teraz zastanawia się, czy wypada to wypluć przy gościu. – Była kurwą.

– Proszę uważać na język, rozmawia pan z funkcjonariuszem.

– Jakbyście sami uważali na słowa. – Klepie otwartą dłońią w udo i skrzeczy jak wrona. To chyba śmiech.

– Możemy dokończyć rozmowę na komisariacie, pana wybór. – Nie lubię go. Tańczy na granicy. Jeden fałszywy krok, a pozna moją mniej przyjemną stronę. Czuję, że coś z nim jest nie tak; gdyby nie fakt, że porusza się z trudem, a jego powykęcane artretyzmem palce wyglądają, jakby ktoś przepuścił je przez młynek do kawy, wylądowałyby na liście podejrzanych. Zresztą gdybym opierał się na moich przeczuciach, lista podejrzanych pękałaby w szwach. Taka profesja ofiar – tanie

dziwki nie mieszkają w pięciogwiazdkowych hotelach, a ich sąsiedzi i znajomi to nie anioły. Mógłbym przyskrzynieć każdego z nich i pewnie zrobiłbym przysługę społeczeństwu.

– Skąd te nerwy, panie detektywie? Proszę nie targać starego człowieka na komisariat tylko dlatego, że używa takiego języka, do jakiego przywykł.

– Proszę się powstrzymać od przekleństw. – Zakreślam w notatniku słowa „stary pierdziel”, a potem dopisuję kilka kolejnych epitetów. – Czy w ostatnim czasie widział pan coś podejrzanego?

– W jakim czasie?

Podnoszę głowę znad kajetu. Przyglądam mu się tak długo, aż odwraca wzrok i zaczyna się interesować półką z książkami. Poprawia nerwowo okulary.

– Dużo pan czyta – zmieniam temat.

– A co może robić emeryt? Nie lubię radia. Nie mam pieniędzy na kino. Grałbym w brydża, ale nikt mnie nie lubi.

Wstaję z fotela. Przeciągam się, aż słyszę i czuję bolesne stęknęcie kręgosłupa. Ostatnie dni dały mi popalić. Próbuję sobie przypomnieć, jak to jest spać we własnym łóżku, a nie na krześle, w samochodzie albo, w najlepszym wypadku, na kanapie w komisariacie, i nie potrafię. Zabawne, że teraz zaczynam myśleć ciepło o pracy prywatnego detektywa. O tamtych czasach, kiedy sam sobie byłem szefem. Być może jeszcze do tego wrócę, jeśli dotrwam do wcześniejszej emerytury. Na razie wypada cieszyć się ze stałego zajęcia, bo wielu nie ma choćby tego. To nic zabawnego, gdy całe dni i tygodnie czeka się na kolejne zlecenie...

Przyglądam się tytułom, ale nic mi nie mówią.

– *Mein Kampf*? – pytam. – To po niemiecku.

– Adolfa Hitlera. Mam również wydanie po angielsku, z tego roku, w tłumaczeniu Vincenta. Chętnie pożyczę – odpowiada prędko.

– Nie interesuję się polityką. Ma pan rodzinę? – Wskazuję na niewyraźną, oprawioną w ramki fotografię. Stoi pośrodku małego stolika, w centralnym punkcie niczym święty kielich na ołtarzu. – Pana syn?

Na zdjęciu ogolony na rekruta osiłek sympatycznie szczerzy białe zęby, zaś mój rozmówca w swej czarno-białej wersji jest równie paskudny jak w rzeczywistości.

– Bratanek – wyjaśnia z niespodziewaną czułością, a później milknie na dłuższą chwilę.

– Na razie nie ma pewności co do czasu zgonu. Panująca w budynku wysoka wilgotność znacznie przyspieszyła proces rozkładu, jednak koroner przypuszcza, że zginęła nie dalej jak kilkanaście dni wcześniej – szybko wracam do tematu. – Czy w tym okresie widział pan kogoś podejrzanego?

– Tak. – Kiwa głową i zaraz dopowiada, że nie wychodzi zbyt często, chociaż wcale o to nie pytałem.

– No więc? Kto to był? – poganiam starca.

Patrzę na zegarek. Jest środek nocy i wiem, że po tym wszystkim tutaj, czeka mnie jeszcze komisariat. Jeśli dobrze pójdzie, skończę do szóstej...

– Widziałem przez judasza, jak po korytarzu kręcił się jakiś negroid. Wielki jak szafa, prawdziwy muł pociągowy. Zdatny do roboty.

Spoglądam na biblioteczkę starego, a potem na niego.

– Uważa pan, że ten człowiek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Sabiny Braunbaum? – Dopisuję jeszcze kilka komentarzy przy zwrocie „stary pierdziel”, przy czym ten pierwszy jest najgrzeczniejszy.

– Jak dla mnie to więcej niż pewne – przytakuje gorąco. – Dupodajka pewnie i czarnemu dałaby się z chęcią nadziać na rożen, taka z niej bladź. No, a negroid jak to półzwierz, jeśli nie zaprzęgiesz takiego do roboty, nie ma co zrobić z energią, więc do wszystkiego zdolny.

Wstaję z fotela.

– Gdzie jest łazienka?

Trochę zdziwiony wskazuje palcem na drzwi.

Wchodzę do środka. Odkręcam wodę w umywalce. Przypominam sobie o kapeluszu, więc odwieszam go na hak obok ręcznika, a potem nachylam się pod mosiężny kran. Kryształowy chłód ścieka po włosach, lepiąc je do czaszki. Stoję tak długo, aż nie mogę więcej wytrzymać. Dopiero wtedy podnoszę głowę i widzę własne odbicie w lustrze. Zmęczoną, poskładaną przez lekarzy mordę, do której bym się nie przyznawał, gdybym miał jakiś wybór. Spojrzenie moje i spojrzenie odbicia spotykają się, i nie podoba nam się to, co widzimy.

Dlaczego ta przeklęta rzecz mnie wybrała?

Uderzam czołem w lustro. Szkło zamienia się w pajęczą sieć pęknięć, ale przynajmniej nie muszę już siebie oglądać. Kilka kropel krwi leniwie ścieka na brew, ginie w niej, a potem spływa do oka. Mrugam, a potem przemywam skaleczenie wodą. Sięgam do kieszeni płaszcza i wyciągam plastry, które stale przy sobie noszę. Odgryzam kawałek i najlepiej jak umiem, zalepiam świeżą ranę na czole. Naciągam kapelusz.

Wychodząc, zabieram jeszcze solidny kawał szarego mydła z umywalki.

Stary spogląda zdziwiony. Chce zaprotestować, ale coś we mnie, coś w moich oczach każe mu zamknąć jadaczkę. Siedzam faceta w fotelu. Nachylam się, odciągam mu szczękę w dół i pakuję do gęby kawał mydła. Później zaciskam, żeby sobie dobrze zagryzł.

– Odezwiemy się w sprawie rysopisu tego mężczyzny – rzucam na odchodnym.

– I w razie dodatkowych pytań.

Kolejny kwadrans zajmuje mi rozdysponowanie zadań pomiędzy ludzi. Przyglądam się ich twarzom, równie zmęczonym jak moja, i prawie mi żal, że zostali przydzieleni do tej kabały. Chociaż i tak mają szczęście. Zakończą pracę na zabezpieczeniu

dowodów oraz zebraniu zeznań, a my z Pollockiem będziemy jeszcze musieli posklejać to wszystko do kupy.

Mundurowemu, który wpadł na mnie niby przypadkiem, zostawiam nadzór nad całym tym bajzlem i wychodzę. Idąc schodami w dół, wsłuchuję się w stękanie zmęczonego drewna oraz głosy ludzi przenikające cienkimi ścianami na korytarz. Są jak ścieżka dźwiękowa tego szpetnego budynku. Hałasy mieszają się jak na karuzeli. Przytłumione, beznamietne głosy z puszek. Pędzą wokół, wciskają się uszami do głowy i dudnią echem. Muszę być bardzo zmęczony, bo dopiero po dłuższej chwili rozumiem, co się dzieje. Tak szybko? Dopiero cię uspokoilem, a ty już wracasz i naparzasz w ten swój blaszany bębenek?

– *Zwierzęciu-człowieku* – mlaszcze tym piekielnym głosem przypominającym zgrzyt metalu, aż zaciskam zęby, ledwie powstrzymując je przed stukaniem. – *Mięsie-tłuszczu-posoko. Mój Przyjacielu. Mój Ezro.*

– Zawrzyj gębę – mamrocze.

– *Tkanko-rozładzie. Dlaczego nie chcesz mnie słuchać?*

Drżącymi dłońmi próbuję sięgnąć po papierosy. Nie mogę znaleźć kieszeni, chociaż na pewno jest tam, gdzie zawsze. Palce płaczą się w połach płaszcza. Nie czuję, czego dotykam, jakbym zamiast rąk miał drewniane protezy. Wszędzie wokół zalegają czarne cienie, tańcząc wściekle tango do rytmu mrugających lamp elektrycznych. Tracę równowagę. W ostatniej chwili łapię poręcz, ratując się przed upadkiem. Ściskam ją jak przerażone dziecko matkę i siadam.

– *Zrób, czego od ciebie wymagam* – naciska.

Każde jego słowo powoduje ból. Paczka cygańskich samosiejek wysuwa się z palców, prześlizguje pomiędzy prętami trzymającymi poręcz i spada, niknąc w mroku. Czarna paszcza połyka ją i pozostaję sam z moim wrogiem.

Odgłosy kroków gdzieś na górze. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie zobaczył w takim stanie. Wiem, co by sobie pomyśleli. Wciąż jestem na cenzurowanym i plotki, że wróciłem do picia, to ostatnie, czego potrzebuję.

Ignoruję jego napastliwą obecność. Kiedy opieram się jego poleceniom, traci cierpliwość – i z każdym dniem jest coraz bardziej agresywny. Wiem, że tylko opóźniam nieuniknione. Muszę zacząć z nim współpracować, choć nie mam pojęcia, co w ostatecznym rozrachunku będzie to dla mnie oznaczać. Dla mnie, dla miasta, kraju, a może i dla wszystkich ludzi na planecie. Jestem ślepcem w ciemnym pokoju. Nikt nie może mnie poprowadzić.

Zaciskam dłonie na poręczy, aż słyszę trzask protestujących kostek palców. Jednym, mocnym ruchem podciągam się do pozycji stojącej. Prawie wypadam za barierkę, ale łapię równowagę i powolnym, ale pewnym krokiem schodzę w dół.

– *Ja nie odejdę – sączy do ucha. – Jesteś mój, przyjacielu-sługo. Ezra-zwierzę. Trkt. Ezra-robak.*

Nad głową wybucha żarówka, zasypując moją ulubioną Fedorę deszczem iskier i szkła. Odruchowo stawiam kołnierz płaszcza i otrzepuję się jak mokry pies. Czaszkę rozsadza ciśnienie. Mam wrażenie, że cały ten cholerny dom zaraz siądzie mi na barki.

– Dość – syczę. – Daj mi spokój.

– *Jesteś mój, jesteś moim domem, Ezra. Miałeś być tylko garniturem, który przywdziewałem przed przebudzeniem, ale zostałeś czymś więcej. Nie cieszysz się?*

– Tańczę z radości. – Spluwam.

Ślina jest czerwona.

Myślę, ile jeszcze zostało tych schodów. Podnoszę głowę, rozglądam się, ale nie widzę dalej niż na kilka metrów, jakby ktoś powlekł wszystko ciemną mgłą.

– *Dzisiaj jest ta noc, mój psie. Krrrkt. Dzisiaj głowa wyjawia nam swoje sekrety.*

Lampy rozjaśniają się. Płoną oślepiającym światłem niczym reflektory w jakimś efekciarskim finale teatralnego przedstawienia. Są jak małe słońca. Zasłaniam dłonią oczy, ale promienie przenikają przez skórę, aż widzę zarys kości palców powleczonego różowym ciałem.

– *Dzisiaj, Ezra-człowieku. Dzisiaj.*

W końcu kiwam głową. Zgadzam się. Wiem, że nie mam wyboru. Żarówki eksplodują, pograżając klatkę schodową w całkowitej ciemności. I jedyne, co słyszę, to mój oddech.

Na dworze chłodna letnia noc. Łykam powietrze jak odratowany topielec, dziś już kolejny raz. Wreszcie zapalam papierosa z mojej paczki, którą znalazłem u podnóża schodów. Leżała na podłodze wśród ciemności, oznaczona światłem ulicznych latarni jak mazakiem.

Otrzeputuję płaszcz z resztek szkła i brudu, czyszczę spodnie na kolanach. Zdejmuję kapelusz i zrywam z czoła zakrwawiony plaster, żeby zastąpić go nowym.

Miasto patrzy na mnie zimnymi oczyma. Przemawia jazgotem, wiecznie żywe i wiecznie spragnione. Jesteś mój, wydaje się mówić. Oddychasz mną, a ja tobą. We mnie przyszedłeś na świat, we mnie odejdiesz, kiedy nadejdzie czas.

Ale ja nie należę już do miasta. Teraz należę do Niego.

Dzisiaj upływa pół roku od dnia, kiedy wróciłem do pracy. Tyle samo brakuje mi do emerytury. To szczególny dzień.

– Panie detektywie! – Ruda dziennikarka wrywa się Pollockowi i biegnie, wymachując notatnikiem. Krok za nią drepcze jej fotograf, śmieszny facecik z wąsikami, którego nazwiska nie potrafię zapamiętać. – Panie detektywie!

Obskakują mnie jak psy. Ona pyta, a on pstryka aparatem, wypalając mi magnezją oczy. Zasłaniam twarz dłonią, łapię za rękaw nadbiegającego Pollocka i wciągam go do służbowego auta. Ruda patrzy z wyrzutem. Jest zawiedziona. Znów

była pierwsza, ale niczego nie uzyskała, więc będzie musiała oprzeć artykuł na domniemaniach i swoich, bądź okolicznych żuli, ponurych fantazjach. Powodzenia, dziecino. Niech ci pióro lekkim będzie.

Pollock odpala silnik i wycofujemy się z parkingu, zostawiając budynek mundurowym oraz dziennikarzom, którzy wkrótce pojawią się większą gromadą, obsiadając dom jak muchy zwłoki.

Widzę jeszcze, jak ruda biegnie do drzwi gmachu, gdzie zostanie zatrzymana przez moich ludzi, jeśli nie będzie dość wygadana. A potem w szyby uderza deszcz i cały świat poza kabiną się rozmazuje. Wycieraczka bezskutecznie odgarnia wodę, chociaż pracuje na pełnych obrotach. Równie dobrze mogłoby jej nie być.

Prawie na ślepo włączamy się do ruchu.

– Powinieneś zostać i pogadać z prasą – Pollock odzywa się po dłuższym czasie.

Tacy jak on zawsze służą dobrą radą. Dzięki popaprańcom mojego pokroju wykuwają sobie schody do katolickiego nieba. Jestem krzyżem, który nosi, chociaż mógłby go odrzucić. Święty Pollock wciąż ciągnie do przodu, na samą górę, gdzie skończy marnie. Musi to wiedzieć lub choćby przeczuwać. Jak to mówili w Piśmie? Nie odsuwaj ode mnie kielicha?

– Wiem – zgadzam się, żeby mieć spokój.

– Zawrócić? – Waha się.

– Nie. Miałem dość tego miejsca. Muszę wrócić do siebie.

Zatrzymujemy się na światłach. Czerwona, rozmazana plama na szybie rozbłyska w najgorszym momencie, pozwalając Pollockowi na naciśnięcie hamulca i przekręcenie głowy w moją stronę. Nie odwracam się. Obserwuję sygnalizację. Nie muszę patrzeć na niego, by wiedzieć, że jest wściekły.

– Ezra, chcesz wszystko zepsuć?

– Co miałbym im powiedzieć? – odpowiadam pytaniem. – Siódma w ciągu kilkunastu dni, zabita dokładnie w taki sam sposób. To ich uspokoi? A może fakt, że

nie wiemy praktycznie niczego, co pozwoliłoby nam zidentyfikować mordercę? Miasto pograży się w chaosie, Pollock. Moja gadanina nic nie zmieni. Jedyne, co może pomóc, to złapanie drania, który za tym stoi. Jest czas na gadanie i czas na pracę.

– Mógłbyś ich uspokoić.

– Jakimś banałem? Zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy? – podnoszę głos. Na szczęście plama świateł jest teraz zielona, więc mój partner wrzuca bieg i ruszamy leniwie przed siebie. – Czasami „wszystko” to za mało.

Milczymy przez kilka minut. Odkręcam trochę szybę. Nie zwracam uwagi na wpadające do kabiny krople i mój prawy rękaw ciemnieje od wilgoci. Zapalam jeszcze jednego papierosa. Pójdę z torbami przez te fajki, ale nie mam wyboru. Dym i woda to jedyne, na co demon mi pozwala. Koniec z jedzeniem, koniec z alkoholem...

Stek z cebulką. Ostatni raz jadłem to wiele miesięcy temu. Wyobrażam sobie tryskający tłuszcz na patelni i unoszący się zapach, obietnicę wspaniałej uczyty, szklącą się cebulę i ciężki gęsty sos, którym to wszystko polewam. Jak wiele bym dał choćby za kęs.

– Myślisz, że była pierwsza? – głos Pollocka zagłusza stukot kropel.

– Co? – Strząsam popiół na zewnątrz przez szparę, ale na końcówce skręta osiada kropla, więc kolejny raz wyciągam zapalniczkę.

– Sabina Braunbaum – uściśla. – Czy myślisz, że była pierwsza?

– Możliwe. Wygląda, że załatwił ją przed pozostałymi znalezionymi do tej pory. Rozkład ciała jest bardzo zaawansowany... Mimo że w mieszkaniu było wilgotno, to i tak musiała tam leżeć dłuższy czas.

Kiwa głową. Nie odpowiada przez chwilę. Walczę z zapalniczką ojca, która właśnie teraz uparła się, że nie pomoże mi na nowo rozpalić peta. Wyraźnie jej zależy, żeby jeszcze bardziej spieprzyć mi ten wieczór.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – Kątem oka łapię jego rozbawione spojrzenie.

– Czego? – pytam.

– No wiesz, tej twojej sztuczki z ogniem.

Wzruszam ramionami. Naciskam kilka razy, ale pamiętka po ojcu musiała zamoknąć i jeszcze długo nie będzie przydatna.

– Nie daj się prosić – nalega.

Co mi zależy, myślę. Pstrykam palcami i końcówka papierosa zaczyna się żarzyć. Twarz kolegi rozjaśnia uśmiech. Zaciągam się mocno.

Pollock nie pyta, dlaczego rzadko używam mojej skromnej umiejętności. Pamięta czasy, kiedy na policyjnych rautach przypalałem na odległość fajki każdemu, kto o to poprosił. To był taki mój znak rozpoznawczy. Wiadomo, oto idzie Ezra, może niezbyt zabawny, trochę ponury i z niewyparzoną gębą, ale zna tę sztuczkę...

Rozkoszuję się dymem i milczeniem mojego intruza. Mówi o sobie Awian, nazywa siebie Pogromcą, Zbawicielem, Cudem, Ulubionym Synem, Tryksterem i masą innych, równie głupich określeń, które u większości ludzi wywołałyby uśmiech. Mnie nie bawią. Dla mnie to demon albo diabeł.

– Zabiorę cię do domu, ale najpierw musimy pojechać na komisariat.

Patrzę na zegarek. Jest dobrze po północy.

– Musisz pogadać z szefem. Zanim obsmaruje cię prasa – wyjaśnia jak dziecku.

– W porządku, o ile facet będzie się streszczał. Potrzebuję odpoczynku.

Deszcz przestaje padać.

Kwadrans później zajeżdżamy pod komendę, otoczoną płotami i parkingiem, wysoką na kilka pięter budowlę, która kojarzy mi się z twierdzą. Otoczona bąblami latarni, smarującymi czarne ściany bladym światłem, przypomina też potwora, który połyka wciąż nowych ludzi, wypływając potem w ich miejsce kogoś zupełnie innego. Zazwyczaj gorszego. Nieważne, czy jako gliniarz codziennie gubisz w niej ideały, czy jako zbir słyszysz zarzuty.

Wspinam się na stopnie. Pajęczyny popękanego tynku sypią ciemnym pyłem, kiedy jacyś gliniarze otwierają drzwi. We dwóch prowadzą skutego draba, przyginając mu kark niemal do ziemi, choć nadal jest prawie równie wysoki jak oni. Porusza pękatymi barami, aż trzeszczy obcisła koszula. Przypomina byka w klatce, którego zaraz wypuszczą na arenę rodeo, żeby rozprawił się z durnym kowbojem usadzonym na jego plecach.

Gliniarze są młodzi. Ich niewinne pyski wywołują we mnie litość. Pot lejący się z ich skroni oraz przejęcie w rozbieganych oczach... Daję im darmową lekcję. Staję naprzeciw. Zatrzymują się zdziwieni, a byk prycha wściekle. Podchodzę do niego, łapię za ramiona.

– Bądź grzeczny – szepczę jak zaklinacz.

I z całej siły ładuję mu kolano w krocze. Kwili cicho, zwija się w kulkę, a nogi drżą mu, jakby nagle nie mogły utrzymać stu pięćdziesięciu kilogramów wagi.

– Prosto – rozkazuję, a olbrzym prostuje się na tyle, na ile potrafi.

Młodzi funkcjonariusze patrzą na mnie zdziwieni. Są tutaj bardzo krótko, skoro nie kojarzą od razu, kim jestem.

– Po co się męczyć – tłumaczę. – Teraz będzie was słuchał, a jeżeli nie, to zapakujcie mu jeszcze jednego.

– To pan? – duka jeden z nich. Blondyn. Wygląda jak cherubinek. Dziecinnego tłuszczu nie zastąpiła jeszcze męskość i zastanawiam się, czy chłopak ma chociaż co golić? – Nie wiesz, kto to jest? – Odwraca się do kolegi.

– O rany. To pan złapał tamtego mordercę.

– Barnabę i jego współpracówkę. No i nie złapał ich, tylko załatwił.

– Jest pan bohaterem – paplają jeden przez drugiego.

Patrzą na mnie teraz jak pieski na pana, który właśnie rozpakował kielbasę i zastanawia się, czy dać im po kawałku, czy spałaszować całość samemu. A więc kilku młodych widzi we mnie bohatera... Sam nie wiem: śmiać się czy płakać?

– Odtransportujcie więźnia – ucinam sucho i wchodzę na górę, zostawiając młodzież ich fantazjom.

Za plecami słyszę charakterystyczny stukot twardych podeszew Pollocka. Nie raz zwracałem mu uwagę, żeby nosił bardziej wygodne buty do pracy. Najwyraźniej facet za punkt honoru postawił sobie, żeby dobrze wyglądać nawet w czasie bójk w knajpie.

Wchodzę na drugie piętro, wprost do biura, poprzez oszklone drzwi osadzone na zawiasach rodem z westernowego saloonu, i witam nasz wydział. O tej porze nie wszystkie biurka są zajęte. Właściwie okupowanych jest ledwie kilka z czterdziestu. Rozjaśniane trójkątnymi światłami biurkowych lamp postacie nie zauważają nas – koledzy są zbyt zajęci pracą, a może wściekli na nadgodziny, za które pewnie nikt nie zapłaci.

– Ezra! – wrzask maści ciszę pomieszczenia. Przetacza się jak lawina, burząc pozorny spokój tego miejsca.

Te kilka gąb odwraca się, patrzy na mnie ze znudzeniem, rozbawieniem albo w ogóle bez wyrazu.

– Co ty tu robisz, do diabła? – Chociaż dzieli nas cała wielka sala, widzę, jak szef wściekle strzyka śliną spomiędzy zębów. – Gdzie reszta?

– Jeszcze na miejscu.

– Do mojego biura! – Trzaska drzwiami. Szyby w jego drewniano-szklanym boksie drżą, jakby miały zaraz wypaść.

Pollock uśmiecha się znacząco i wzrusza ramionami. Temperament szefa jest legendarny, wielu nigdy nie słyszało, żeby mówił w normalny sposób. Sprawa Dentysty, jak określiła psychopatę prasa, na pewno nie koi nerwów. Tym bardziej że chodzą słuchy, iż burmistrz wydzwania teraz o każdej porze dnia i nocy, wciąż wypytując o postępy. A staremu kończą się wymówki... Chociaż muszę przyznać, że to był diabelnie sprytny ruch – przydzielić do sprawy kogoś mojego pokroju. Czarna

owca na odstrzał, a komisarz pozostaje kryty. Przecież przydzieliłem bohatera, mojego najlepszego człowieka, będzie tłumaczył, podczas gdy tak naprawdę nienawidzi mnie do szpiku kości. Nie dziwię mu się. Ma powody.

– Walniesz kielicha, Ezra? – pyta prawie spokojnie, kiedy wchodzę. Pollockowi pokazuje, że ma zostać na zewnątrz. Partner patrzy na mnie z troską godną matki, ale bez słowa zamyka za sobą drzwi. Pozostajemy we dwóch: ja i szef.

Komisarz Mills siada za biurkiem. Wypolerowane na połysk buty układa na blacie i nachyla się do szuflady, grzebie – słychać szelest przewracanych papierów, wreszcie wyciąga półpełną butelkę z whisky, której mętna barwa w przyciemnionym pomieszczeniu przypomina siki. Potem wyciąga dwie szklanki z grubego szkła. Patrzy pytająco. Nie odzywam się, więc pyta na głos:

– Golniesz?

– Nie piję – odpowiadam.

– A więc to prawda, co gadają. – Szczerzy zęby jak lis. Jego ciężki, rudy wąs ciemnieje od śliny. – I prawda, co Pollock nawciszał sędzinie. Zmieniłeś się. Zmieniłeś swoje życie. Może znalazłeś Boga? – drwi.

– Nikogo nie znalazłem. Po prostu już nie piję.

– Twoja strata. – Napęła szkło do połowy, drugą szklankę na powrót wrzuca do szuflady. – Nie ma jak whisky.

– Nigdy za nią nie przepadałem.

Sięgam po krzesło, chociaż po jego minie widzę, że wolałby, żebym stał. Nie protestuje jednak – cokolwiek myśli, pozostawia dla siebie. Jest wyjątkowo spokojny. To zły znak. W czasach, kiedy się przejmowałem, pewnie drżałbym ze strachu. Teraz, dzisiaj, te sztuczki są co najwyżej zabawne.

– Liczę na ciebie, Ezra.

– Ta? – udaję zdziwienie.

Rzucam kapelusz na biurko. Łąduje koło oprawionego w ramkę paskudnego zdjęcia jego szpetnej żony. Żałuję, że nie trafiłem i nie nakryłem tej twarzyczki. Pewnie byłby wdzięczny.

– Zdrowie pani Mills – mówi, jakby czytał w myślach. – Spójrz mi w oczy, Ezra.

Robię, jak każe. Szef nie spuszcza wzroku przez dłuższą chwilę, zupełnie jakby toczył ze mną pojedynek.

– Powiedz, że jesteś już blisko. Powiedz, że nasz kochany morderca czuje twój śmierdzący oddech na plecach. Powiedz, że coś masz – cedzi słowa nieznośnie powoli.

– Idę do domu.

– Po to przyszedłeś? Żeby mi to powiedzieć?

– Przyszedłem, ponieważ wołałeś.

Nigdy nie lubiłem komisarza. Właściwie to chyba nikt za nim nie przepadał. Gdyby zrobić konkurs na najbardziej nielubianego glinę, w którym prawo głosu mieliby wyłącznie starzy wyjadacze, nie stanąłbym na najwyższym stopniu pudła. Należałoby mi się drugie miejsce. Chociaż myślę, że gdyby Mills był zwyczajnym detektywem, a nie szefem całego wydziału, dzierżyłbym palmę pierwszeństwa. On przecież musi mieć jakieś dobre strony, skoro dotarł tak wysoko. Ktoś na górze pewnie go lubi.

– Nie rób sobie jaj, Ezra. Co z tą dziwką? Jego robota?

– Ta – kiwam głową. – Jego robota. Albo jej.

– Przyjmijmy, że to facet. W końcu to prawie nigdy nie są kobiety.

– A ta moja? – Wspominam Delilę, która stała się dla mnie biletym powrotnym do służby. Ona i jej pomocnik, Rzeźnik Barnaba, jak barwnie nazwały go pismaki.

– Delila pociągała za sznurki. Nie mówimy o sznurkach.

– Też wołałbym, żeby ta sprawa była mniej poplątana.

– Co masz? – stary nie ustępuje.

Wkłada końcówki wąsów do ust i wysysa z nich resztki alkoholu.

– Wygląda na robotę naszego człowieka. Ofiara w brutalny sposób pozbawiona uzębienia. prostytutka. Biała. Śmierć nastąpiła kilkanaście dni temu. Najprawdopodobniej. – Kartkuję notes. – Mocno posunięty stopień rozkładu uniemożliwia na tę chwilę dokładniejsze przybliżenie terminu zgonu, tym bardziej że w lokalu denatki było jak w cholernej saunie.

– Czyli koroner nie popisał się konkretami...

– Nie musiał. Uszkodzony zegarek ręczny zatrzymał się drugiego, a zeznania lokatorów budynku potwierdzają tę datę jako prawdopodobną, więc będę się tego na razie trzymał.

– Niemal dwa tygodnie... – Wygląda na zamyślonego. Jego przekrwione oczka wpatrują się gdzieś w dal. Domyślam się, czego szuka i mógłbym podpowiedzieć, ale wolę poczekać, aż sam sobie przypomni. – To byłaby najwcześniejsza z nich.

Wreszcie.

– Tak. Była pierwsza. Potwierdza to również istotny szczegół... Tym razem nie znaleźliśmy naszyjnika.

Cisza. Powoli sączy swój ulubiony trunek. Zastanawia się, układa przemówienie dla prasy, a może rozgrywa w głowie scenariusze wywiadów?

Dziennikarze nazywają mordercę Dentystą. Ktoś puścił farbę, że usuwa zębki z maniacką dokładnością. Razem z korzeniami – jeżeli jakiś zostaje po usunięciu, to rozrywa dziąsła i wygrzebuje resztę. Tyle wie prasa. Nie wiedzą, że robi z nich później naszyjniki, które zostawia jako znak rozpoznawczy – nawleka kły jak koraliki pieprzonych różańców, każdej kolejnej ofierze pozostawiając pośmiertny prezent z uzębienia jej poprzedniczki. Co zabawne, pismaki nie mają pojęcia, jak dokładnie trafili z przydomkiem zwyrodnialca. Wszystkie znalezione do tej pory zęby są spróchniałe.

– To wskazuje, że była pierwsza – odzywa się po chwili Mills. – Albo zmienił *modus operandi*. Nie miał czego jej podarować lub nie wymyślił jeszcze, jaka będzie jego wizytówka?

Komisarz nie oczekuje odpowiedzi.

– A reszta obrażeń? – pyta.

– Została podziurawiona jak sito. Narzędzie zbrodni pozostaje tajemnicą.

– Jeżeli przy niej się rozprawczył, nie mógł być jeszcze sprawnym kochankiem.

Przyciśnij konowała. Może uda się dowiedzieć więcej niż z tych, które znaleźliśmy później.

Przytakuje.

– Zapaliłbym. – Prawie niezauważalnym gestem szef wskazuje na płaszcz zwisający z ustawionego w rogu pokoju wieszaka. – Prawa kieszeń.

Wstaje, słysząc jak zwykle protest starych, zmęczonych kości. Zegar na ścianie wybija pierwszą, więc niewiele nocy mi pozostało. Latem świta po czwartej, a wciąż muszę coś wykopać. Niechętnie przyznaję, że mój demon sprawił, iż jestem trochę lepszym człowiekiem. Kiedyś łamałem przyrzeczenia na potęgę i nikt nie mógł na mnie liczyć. Teraz to się zmieniło. On wierzy w potęgę danego słowa, a od kiedy we mnie zamieszkał, i ja muszę wierzyć. Złożonych mu obietnic nie wolno łamać.

Wyciągam paczkę – a z niej papierosa dla siebie – po czym odrzucam ją do szefa. Łapie, nawet nie patrząc. Wciąż ma sprawne ręce. Zanim dupa przyrosła Millsowi do fotela, całkiem nieźle radził sobie na ringu w zawodach. Wieść niesie, że żadnemu gliniarzowi, który lubił tłuczenie po mordach, nie udało się przestawić mu nosa. Chociaż patrząc na kulfon rudzielca, trudno w to uwierzyć.

Zapalniczka ojca wyschła, więc znowu pali dobrze. Zaciągam się i z ulgą oddycham dymem, który momentalnie puchnie nad naszymi głowami jak burzowe chmury.

– *Pamiętaj, mój przyjacielu, mój powierniku. Mój pies* – skrzekliwy głos w czasie nabrzmiewa, kiedy najmniej się tego spodziewam.

Przecież pamiętam.

– Czas na mnie – oznajmiam.

Zapada cisza. Szef nie odpowiada. Pali spokojnie swoją fajkę, popija whisky i patrzy na mnie. Ja również palę i również patrzę na niego. Czas przepływa gdzieś obok, przesuając leniwie wskazówki zegara.

– Nie skończyłeś na dzisiaj – mówi wreszcie. Powoli i wyraźnie, jakby nawijał do niedorozwoja. – Reszta na miejscu, jeszcze pracują... A ty chcesz wziąć sobie wolne?

– Chcę. – Co innego mam powiedzieć? Nie mam ochoty się przed nim tłumaczyć.

Od trzech dni prawie nie spałem. Komisariat z drugiego domu stał się tym pierwszym. Ja już nie jestem zmęczony – jestem wyczerpany. Jedyne, co sprawia, że nie zasypiam na stojąco, to adrenalina i wypalane papierosy. No i siedzi mi w bebeczach jakiś stwór, który posiada dość mocy, żeby przewrócić cały nasz świat do góry nogami, jeżeli będzie miał taki kaprys. To chyba niezłe powody, żeby podarować sobie tę nockę.

– Ezra... Stary jesteś. Długo pracujesz. Niedawno wróciłeś, chociaż wiesz dobrze, że nikogo to nie cieszy. Dzisiaj znajdujemy kolejną zarżniętą kobietę, a ty olewasz sprawę, bo chcesz się przekimać?

– Mój bak jest już pusty, Mills. – Dobra. Wygrałeś. Dam ci chociaż palec. – Potrzebuję chociaż czterech godzin. Świat się nie zawali przez cztery godziny.

– Nie chcę, żeby Pollock siedział nad tym sam – stawia jasno sprawę.

– Jemu też daj wolne. Nie pracujesz dobrze, jeśli musisz czytać linijkę raportu sześć razy, żeby zrozumieć jej znaczenie.

Uważam rozmowę za skończoną. Komisarz też ma chyba wszystkiego dość, bo nie zamierza się sprzeczać ani dawać poleceń służbowych. Wie, że to chore i że jak będzie nas tu dalej trzymał, to pewnie zaczniemy do siebie strzelać. Niech kolejna zmiana, która została w tamtym mieszkaniu, składa dzisiejsze puzzle.

- Dobra. Wyznaczę kogoś na twoje zastępstwo do rana.
- Jesteś prawdziwym aniołem, szefie. Archaniołem.
- O siódmej meldujesz się na służbie.
- Ta jest!
- Czekaj jeszcze – zatrzymuje mnie, kiedy kładę rękę na klamce.

Odwracam się powoli. Widzę, jak Mills wstaje ciężko z fotela. Dopiero teraz zauważam plamy potu, które wykwitły na jego eleganckiej koszuli. Czyżby nie czuł się podczas tej rozmowy tak komfortowo, jakby się wydawało? Gasi papierosa na podłodze i przydeptuje butem. Ja jestem dopiero w połowie mojego, tak więc ćmiąc spokojnie, czekam, aż do mnie podejdzie.

– Wiesz, dlaczego cię przydzieliłem do tej sprawy? – Staje tak blisko, że jego pijacki oddech tłumi inne zapachy. – Dlaczego przydzieliłem takie ścierwo do tego?

– Pewnie mi powiesz.

– A jakże! Powiem. – Beka ciężko. Potem bierze głęboki oddech i zaczyna wyrzucać słowa niczym karabin maszynowy kule. – Jesteś najlepszym detektywem, jakiego mam. Mimo tego, że kawał gnoja z ciebie, jesteś najlepszy. Załatwiłeś tego Barnabę, a i wcześniej rozwiązałeś kilka śmierdzących spraw. Ezra, jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty, ale jeśli będziesz się stawiał, to Bóg mi świadkiem, że cię usadzę. W dupie mam, że brakuje ci kilku miesięcy do emerytury i że prasa zrobiła z ciebie bohatera. Masz mnie słuchać albo pożałujesz, że wróciłeś. Usadzę cię jak cholera.

Naciskam klamkę i otwieram drzwi. Później je zamykam. Odwracam się, wymijam szefa, podchodzę do biurka i podnoszę wysłużoną Fedorę. Tym samym ruchem kładę wizerunek jego żony twarzą do blatu.

– Nie usadzisz mnie – szepczę.

– Słucham?! – podnosi głos, jakby szykował dłuższą tyradę, ale mu przerywam.

Mówię cicho, a on nie śmie się wtrącić.

– Nie usadzisz mnie – powtarzam. – Wiem dobrze, dlaczego to muszę być ja. To nie może być nikt inny. To musi być ktoś, kto stanie na środku pokoju, kiedy gówno uderzy w wentylator. Potrzebujesz kozła ofiarnego, Charlie.

Purpurowieje. Wygląda zabawnie – te marchewkowe włosy i wąsy do kompletu z twarzą koloru buraków.

– Spierdalaj! – krzyczy, szarpnięciem otwierając drzwi.

Wychodzę. Nie oglądam się. Pollock patrzy pytająco, ale wzruszam tylko ramionami, więc milczy.

– Mamy wolne do siódmej – rzucam.

Jadę przez pustoszejące ulice. Księżyc przegonił deszczowe chmury i teraz świeci mocno i wyraźnie, kąpiąc dachy budynków w mlecznym blasku. Miasto nie śpi, tylko czeka. Mój demon nie śpi również. Cicho podszeptuje, co mam zrobić.

Najpierw odwiozłem Pollocka do jego pięknego domku na przedmieściach, gdzie żona pozapalała wszystkie światła, kiedy tylko przestąpił próg. Jakże inaczej świat wygląda, kiedy stoi się wśród równo przystrzyżonych, zielonych trawników, pomalowanych na żółto drewnianych ławeczek i czerwonych skrzynek na listy, których nigdy nikt nie zadrapał. Że też Pollock wraca do komendy i babra się w tym wszystkim... Oszalał, że opuszcza ten idealnie skrojony raj? Może i jego to miasto zakłęło, tak jak mnie, i nie może dłużej żyć bez zimnego oddechu nocy napełniającego płuca, bez spojrzenia zimnych okien...

Mrugam. Powieki lepią się, jakbym wysmarował je klejem. Ledwie widzę drogę.

– *Prędzej Ezra-zwierzę. Odkop głowę, a będziesz krok bliżej do naszego rozstania.*

Wyjątkowo jego głos mnie nie drażni. Dziękuję w duchu za każde słowo. Przynajmniej nie zasnę i nie wjadę w ścianę jednego z mijanych domów, przebijając mur i ładując się ciężkim Fordem prosto do sypialni jakichś bogobożnych Włochów albo Irlandczyków.

Wreszcie znajduję to miejsce. Na szczęście nie jest tak daleko od domu, jak zapamiętałem. Wsiadam z samochodu i ruszam do bagażnika, skąd wyciągam podręczną, wojskową saperkę. Chowam ją za pazuchę płaszcza, naciągam mocniej kapelusz i idę poprzez ulicę wilgotną od wody wypływającej z zepsutego hydrantu. Jakieś łobuzy musiały zrobić sobie wcześniej zabawę. Woda tryska w górę jak gejzer, ale nie obchodzi mnie to, póki nie niszczy mi butów.

Wstępuję na chodnik, a z niego na trawnik. Przed sobą widzę rosnące drzewa, które tłoczą się wokół drabinek, huštawek i basenów z piasku. Plac zabaw jest wymarły nocą. Kiedy nie ma na nim dzieci, przypomina cmentarz. Gdy przez niego przechodzę, łańcuchy huštawek skrzypią niepokojąco, a wiatr z wyciem przesiewa ziarnka w piaskownicy.

Jest i moje drzewo...

Nie mam pojęcia, dlaczego go nie wycięli. Wygląda jak wrzód pośród zielonych, zadbanych i pękatych od tłustych liści dębów. Wygląda, jakby po coś sięgało, bo pomięte i prawie łyse gałęzie ma skierowane w bok, zamiast do góry. Kora o niezdrowym, żółtym odcieniu odpada w niektórych miejscach, przywodząc na myśl straszliwe rany, odsłaniające kość.

Przyklekam pod nim. Łapię za granitowy kamień, który ułożyłem tam pół roku wcześniej. Wyciągam saperkę i zaczynam kopać. Nie mija wiele czasu, kiedy trafiam

na nadgniły, wilgotny karton. Unoszę wieko i widzę pokryte bielmem oko. Przypatruje mi się z ciekawością. Drugiego już nie ma. Zżarły je robaki. Łapię mocno głowę i wyciągam, żeby obejrzeć ją w świetle księżyca. Przez dziurę w czaszce, którą wywaliłem moim Coltem, dostrzegam kawałek mózgu i skolopendrę, która się tam zaległa. Wytrzepuję robala na ziemię. Nie chcę zabierać tego paskudztwa do domu. Popękane usta poruszają się z mlaskiem, aż słyszę głos.

– Panie? – gada Barnaba.

– Zamknij się.

Podróż do domu trwa dłużej, niż pamiętam; czas ciągnie się jak guma, ale kiedy wreszcie parkuję pod ceglany budynek, ze zdziwieniem odczytuję na zegarku, ile godzin pozostało do rana. Mam nawet szansę się zdrzemnąć.

Sklepy zółtków są pozamykane, więc nie muszę oglądać ich wykrzywionych złością gąb. Zatarg z tymi cwaniaczkami zaognia się z każdym dniem – na pewno jest w tym trochę mojej winy, ale nie przejmuję się, bo to domena słabych. Nie mogę pozwolić sobie na słabość.

Księżyc wisi nad dachem budynku jak lampa. Oświetla świeży tynk, położony na odbudowanych ścianach mojego mieszkania na trzecim piętrze, ścianach rozwalonych w mak przez demona podczas naszego pierwszego spotkania. Dom pozszywany jak Frankenstein.

Biorę pakunek i pokonuję cztery schodki dzielące mnie od głównych drzwi. Znajomy chrobot klucza i skrzypienie zawiasów sprawiają, że czuję coś miłego w dołku. Własne leże zawsze najlepsze.

Przy wtórze skrzypienia schodów i mrugania ściennych lamp wspinam się na górę, aż wreszcie jestem u siebie. Moje mieszkanie, moje niedawne biuro. Wita mnie stara, pokryta kurzem kanapa stojąca naprzeciw wejścia, otoczona szafami pełnymi

ezoterycznych ksiąg, które zostawił mi ojciec, a których nigdy nie miałem czasu ani ochoty przeczytać.

Podchodzę do dużego stołu przy oknach. Zostawiam paczkę. Prawie potykam się o krzesło, którego w półmroku nie zauważyłem. Jedno z trzech, jakie mi pozostały. Komplet składał się z czterech, ale demon jedno zniszczył. Drań.

Odwieszam kapelusz, płaszcz i kaburę, zrzucam buty i odkopuję je byle jak pod ścianę przedpokoju. Rozpinam koszulę, odpinam pasek i opuszczam spodnie. W samych skarpetach, podkoszulce i gaciach, wchodzę do łazienki, gdzie przekręcam kurek i czekam, aż kryształowa ciecz napęlni mosiężną wannę. Woda to doskonały przewodnik.

– *Nie mamy wiele czasu. Pospiesz się.*

Dobrze wiem, co mam robić. Podobnie jak on z każdym dniem dowiaduje się o naszym świecie więcej, tak i ja się uczę. Wiem, co mam robić i czego oczekuje, chociaż nigdy przedtem nie zajmowałem się magią, a cały mój kunszt zaczyna się i kończy na jednej sztuczce wywoływania płomyka. Zresztą tylko na tyle wystarcza mojej własnej mistycznej mocy.

– *Teraz jest wyjątkowa noc. Wyjątkowa – mówi stwór. – Użyczę ci części mojej potęgi, zwierzę-ssaku-człowieku.*

– Mam nadzieję, że dzięki temu się ciebie pozbędę – syczę.

– *Uwierz, nie pragniesz tego mocniej niż ja – zgrzyta w mojej głowie. – Świadome współistnienie z kimś z twego pośledniego rodzaju jest skrajną obrzydliwością.*

Zdejmuję podkoszulek. Ściągam skarpetki i wrzucam je do kosza na brudną bieliznę, po czym wracam do pokoju po paczkę z głową Barnaby. Kładę ją na kafelkowej podłodze i popijam wodę z kranu.

– *Czy jesteś gotów?* – pyta.

Zamykam kran, ściągam gacie i trzymając karton, ładuję się do wanny. Gorąca woda parzy, ale zaciskam zęby i nie zwracam uwagi na ból.

– Ta. Możemy zaczynać, demonie – potwierdzam, wyciągając głowę Barnaby.

– *Po raz ostatni... Nie jestem demonem. Demony nie istnieją. Diabły nie istnieją. Anioły nie istnieją. Nie zostały zapisane w Księdze Egzystencji i są jedynie wytworem wyobraźni waszej kloacznej rasy. Krrrkt. Ja jestem Awianem, przednim Tryksterem, Pogromcą...*

Głowa boli mnie od tych nic nieznaczących tytułów. Jest księciem w kraju, gdzie tytuł szlachecki wart jest tyle, ile gotówki za nim stoi. Jego przechwałki nic nie znaczą, przedłużają jedynie to nieznośne terkotanie.

– Cicho, Paddy. Zaczynamy.

I milczy. Nawet On ma tej nocy ważniejsze sprawy niż próba karania mnie za zuchwałość.

Przyglądam się odciętej głowie. Wyglądasz nawet gorzej niż w dniu, kiedy mnie spotkałeś, Barnabo. Chociaż wpakowałem w ciebie cały bęben magazynka, zaś Awian urznął ci łeb przy samej szyi, wciąż nie chcesz zemrzeć jak człowiek, pokrako. Coś uparcie każe ci żyć, wbrew rozsądkowi i prawom natury.

Myślę o nim sprzed Dnia Rudego Śniegu... Zapewne był nikim, kolejnym statystycznym zerem, którego ani śmierć, ani narodziny nikogo nie obeszły. I w tej jednej cholernej chwili został odmieniony, jak wielu innych obywateli tego kraju. Każdemu wedle zasług... Nie w tym przypadku. Ja, stróż prawa, otrzymałem dar zapalania papierosów na odległość, a ten zbir stał się nieśmiertelny. I gdzie tu sprawiedliwość?

Barnaba przewraca okiem i oblizuje spierzchłe usta grubym, czarnym językiem. Końcówka szyi ścięta równo jak przy linijce ukazuje pulsującą ciągle krtań.

– Znowu światło jest – sepleni. – Nie chcę znowu być ciemno.

Dziura w głowie nie najlepiej wpłynęła na jego zdolności krasomówcze.

– To ja, Paddington. Pierwszy wśród Awian, na którego przybycie oczekiwałeś – mówię nieswoim głosem. Mój prywatny demon przekazuje słowa wprost do ust.

Woda w wannie zaczyna mętnieć.

– Dzięki, Panie, dzięki! – Pojedyncza, czarna łza spływa po policzku ciężko jak ropa. – Dzięki za łaska dla niewartego nic sługi.

– Odpowiadaj więc. – Przełykam ślinę. Smród potężnieje z każdą chwilą.

– Pan pytać, a sługa odpowiadać.

Jego usta drżą.

Głowa jest ciężka. Ręce męczą się, a skóra nie-trupa wilgotnieje od pary. Prawie upuszczam ją do wody, ale Paddington uprzedza, że nie wolno tego zrobić. Jeszcze nie. Jest za wcześnie. Więc ściskam mocniej lepkie policzki, wpatruję się w pobielale oko, w którym ledwie widać źrenicę, i rozkazuję:

– Opowiedz, jak poznałeś Delilę.

– Panie, to być zaraz po Rudym Śniegu. – Oblizuje wargi. – Choćby dzień nie minął. Nawet nie jeden dzień. – Ślina ścieka z kącika jego ust. Łąduje w wodzie. Z trudem opanowuję wzdrygnięcie obrzydzenia. – Słabo... Ale pamiętać. – Przez dziurę w jego czole widzę przeciwległą ścianę. Kto chciałby taką nieśmiertelność, jaką ma Barnaba? Nie ja. Nie ja. – Nie wiem, kim być przed śniegiem. Pewnie nikim być. Nikim. Śnieg zmienił. Biały to nie być śnieg. Smak jak rdza. Rudy, krwawy śnieg. A ja iść ulicą, kiedy on pada. I nagle, nagle, przygniótł ogromny ciężar. Ja nie móc iść. Przygnieciony do ziemi głową. Skręca się ciało, wyżyna i łamie. Rwie skórę, gniecie kończyny... Potem ciemność. Spokój. I nagle wracać. Jakby coś kazało. Jak rozkaz z nieba, co takiemu nie móc się sprzeciwić – ciągnie po chwili przerwy. – Być z powrotem, na środku ruchliwej ulicy. Rozglądać się. Rozglądam się. Nie wiem, skąd tam akurat... Wozy buczeć i krzyczeć wokół, szturchają i uderzają. Później tamta ciężarówka, z ciemnej nocy. Na pace węgiel, co wypada na boki. Dwa okrągłe światła na przedzie. Patrzeć na nie. Patrzę na nie... Bum. I fruwać jak ptak. Na

krótko. Zaraz ląduję w jakichś śmieciach. Samochody dalej buczeć i jechać. Nikt się nie zatrzymał. Nikt! – prawie krzyczy.

Czarne łyzy zaczynają płynąć coraz obficie. Opuszkami palców wyczuwam drganie mięśni pod policzkami. To, co Paddy z nim robi, na pewno nie sprawia przyjemności. I dobrze. Nie żałuję potwora. Wystarczy, że zamknę oczy i widzę cały legion ofiar, jakie zebrał w dziurze, w której się ukrywał.

– Leżeć długo. Nie ruszać się. Chcę poruszyć nogami, ale one tylko rwą ścięgna i skórę. – Wypowiada kolejne słowa coraz szybciej, jakby czuł, że czas się kończy i jeżeli teraz nie zdąży opowiedzieć swojej historii, to kolejnej okazji nie będzie. – Księżyc. Okrągły zza chmur. Księżyc prawie sięgać dachów budynków, kiedy czerwony wóz stanąć. Wysiada ona, piękna jak anioł. Delila. Ona wziąć mnie do bagażnika. I my jechać. Ja to słyszeć, bo nic nie widzieć. W bagażniku ciemno. Jak pod ziemią. – Teraz wyrzuca słowa tak szybko, że ledwie go rozumiem. – Ona składa do kupy moje nogi. Potem wrzucić je do szyn. I ja chodzę. Delila opowiada, co się stało. Opowiedzieć, że teraz nikt nie zdoła mnie zabić, bo Rudy Śnieg dać mi moc. Ona znać cuda. Już wcześniej, długo przed Rudy Śnieg, ona zna cuda. Ale i jej modlitwy zostać wysłuchane, bo i ona otrzymać dar w tamten Dzień.

– Profetyzm – szepczę własnym głosem, przerywając na chwilę jego wywód.

– Taaak. – Uśmiecha się niemal lubieżnie. – Delila mówić, że może wiedzieć, gdzie jest wszystko, czego ona zechcieć odszukać.

Głowa ciąży. Czuję, że nie utrzymam jej dłużej. W myślach pytam demona, co dalej, ale ten milczy. Zazdroszczę mu, że nie może teraz oglądać tego łba, że może tylko słuchać.

– Po co ci ten dar, ja spytać. Nie woleć nieśmiertelność, jak ja? – ciągnie dalej Barnaba. – A ona na to, że nie. Ona tylko tego potrzebować. I wtedy pokazuje pieczęć.

Drzę na samo wspomnienie. Widzę znowu paskudny przedmiot, który wyciągnął na światło dziennie ukrytego we mnie potwora. Ciężki, żelazny drąg, przypominający pogrzebacz. Zakończony znakiem krzyża w okręgu.

– Delila opowiadać, że dzięki temu zobaczyć anioły. Bo anioły ukryte są w ludziach, wiesz, Barnaba? Tak ona mówić. Bóg wbić je w ludzi do chwili jego ponownego przyjścia. I one czekać tam. Zamknięte. Uwięzione. I kiedy wyjść, wtedy i Bóg nadejść, żeby nas nagrodzić. – Awian ledwie powstrzymuje śmiech, słysząc tę część opowieści. Miło, że chociaż komuś dopisuje humor. – Ona robić różne cuda i ja już wierzyć. Bóg musi być dobry, skoro stworzył magię. Barnabo, czy wierzysz? Ona pyta. Ja mówię, że tak. Wierzyć jak cholera. Potem ona pytać, czy ja zostanę jej sługą i pomogę odnaleźć anioły. A ja na to, że tak. Tak! Tak! Tak! Krzyczeć z radości. Podskakiwać na kulasach.

– A potem ją zdradzasz – przerywam. Głowa zaraz mi upadnie. Palce wgniatają policzki, a skóra jest miękka jak budyń. Nasz czas się kończy.

– Nie. Nie zdradzać, nie zaraz – zaprzecza. – Zdradzać Delilę dopiero kilka miesięcy później. My, we dwoje, szukać aniołów w ludziach, ale ich nie ma. Ona mówi, że nie umieć ich wskazywać tak dokładnie, więc musimy ciągle próbować nowych. Ja się zgadzać, skoro my nie mieć wyboru. Ale jest problem. My zrobić dużo trupów. Bo jak ktoś nie ma w sobie anioła, to umierać. My nie mieć już miejsca, żeby pakować tyle trupów.

– Dlaczego ją zdradziłeś?

– Ona w końcu znaleźć miejsce, gdzie jesteś, panie. Teraz być pewna. My cieszyć się, ale nocą, kiedy spać, ja śnić, że ona mnie zdradzić. Ona wziąć całą chwałę na siebie. Mnie wyrzucić. Chociaż ja ich łapię, ja biję, ja przynoszę.

– A więc kradniesz jej pieczęć i zaczynasz działać na własną rękę?

– Tak, panie. Znać miejsce, więc zbierać ludzi stamtąd i próbować... Ale w końcu, to ona ciebie odnaleźć – kończy ze smutkiem.

Wspominam dzień, kiedy do mnie przysła. Delila o precudnych kształtach, kipiąca seksem, rzucająca uroki spod tłustych, czarnych rzęs i płonąca wściekle rudymi włosami. Zbyt piękna dla kogoś takiego jak stary Ezra.

Siada naprzeciwko. Czerwone płomienie włosów kontrastują z mętym kielichem Zielonej Wróżki, znad której ją obserwuję. Nie pracuję wtedy w policji, nie jestem psem, tylko kundlem. Możesz wynająć mnie do wszystkiego, jeśli wystarczająco dobrze zapłacisz. Ona płaci.

Jakim byłem głupcem! Siadłem do rozgrywki, w której karty zostały wcześniej oznaczone – jako jedyny jeleń przy stole. Zapomniałem starej zasady: jeżeli nie widzisz frajera, ty nim jesteś. Musiałem przegrać.

Awian cicho szepcze. Rzeczywiście coś dzisiaj wisi w powietrzu. Coś dziwnego unosi się w parze. Tym razem nie rozumiem słów, które wypowiada. Przemawia w swoim języku – zwykle tego nie robi, zamknięty w klatce ciała, skąd nie ma przecież żadnej władzy nad światem rzeczywistym. Jest więźniem i chociaż mógłby mnie zostawić, jedno trzyma go mocniej niż jakiegokolwiek kraty. To strach.

Ale dzisiaj jest niezwykła noc. Dzisiaj może uchylić rąbka tajemnicy, splunąć mocą bez obawy, że któreś z pozostałych go odnajdzie. Więc szepcze te swoje słowa, a ja czuję, że moje usta poruszają się nieznanym rytmem i mój głos wkrótce znowu staje się jego głosem. Zgrzyta zmęczonymi żeliwnymi trybami, terkocze zapadkami, wizga maszynową torturą. Głowa nie jest już ciężka, teraz waży tyle, co nic. Białe oko mruga, a naskórek na policzkach, gdzie ułożyłem dłonie, zaczyna się łuszczyć. Całymi płatami rosi teraz ciemną wodę, a ta zaczyna bulgotać, jakby czerpana z jakiegoś gorącego źródła na moczarach. Bąble rosna, później pękają z płaskiem i teraz nurzam się w gorącej smole. Ta jednak nie parzy. Jej dotyk jest pieśczołą.

W łazience zrywa się wichur. Drzwi są zamknięte, wyciąg od wentylacji również, ale to żadna przeszkoda dla magii. Moje włosy tańcżą, a tafla marszczy się i rodzi niewielkie fale. W tym samym czasie moje palce wbijają się w głowę Barnaby

jak w ciepłe masło. Głęboko. Żarówka mruga. Krótco. Kątem oka dostrzegam cień – skrzydlaty cień o ciele naszpikowanym nożami. Demon jest blisko, ledwie włos dzieli go od mojego świata... A równocześnie nadal czuję go w środku, nadal jestem tutaj, cały z ciała, a nie zastąpiony żywą stalą.

Jego psalm urywa się nagle. Głośny pisk to ostatnia głoska. Głowa szarzeje i pęka, spada deszczem prochu, który miesza się z moją kąpielą. Osuwam się na plecy, skrajnie wyczerpany. Czuję, że mógłbym spać chyba z tydzień.

Jednak to jeszcze nie koniec.

Ciemna woda zmieszana z prochem porusza się leniwie. Drży i unosi się w górę, formując znajomy kształt. Znajomy, kuszący kształt.

– Jest mi tak zimno. – Usta Delili drżą w malignie, jej głos zdaje się dochodzić z oddali.

Jej odwiedziny są dla mnie zaskoczeniem. Demon po wielokroć powtarzał, że my ludzie nie posiadamy duszy i po śmierci rozmywamy się w mgłę. Może tylko drwił?

– Panie?

Nie. Nie drwił. Pojmuję, że to, co widzę przed sobą, kształt jej ust na wodzie, i to, co słyszę, jej piękny głos, są ledwie ostatnią iskrą życia Delili, która pozostała z Paddingtonem, kiedy ukatrupił czarownicę. Tak jak wszyscy zabiści pozostawiają piętno na swoim oprawcy, tak i ona to uczyniła. Przywołaliśmy cień, który z pierwszym promieniem słońca odejdzie na zawsze. Nie mamy duszy. My, ludzie, nie mamy duszy, demon mówił prawdę.

– Chcemy skorzystać z twego talentu trupie-kobietko bez istnienia.

– Jestem do usług, panie. – Drży na drobnych falach.

– Pokaż, gdzie są pozostali. Pokaż mi, gdzie ukryli się potomkowie Protoplasty, moja rodzina – mówimy ekstatycznym chórem.

Nasze głosy mieszają się i uzupełniają. Mój głos ludzki i jego zbudowany ze zgrzytu.

I ona pokazuje nam miejsce.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Antologia „Kryminalna 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Tomasz Mróz: Fabryka wtórów

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłowninie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: Przejście A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Znowu spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezlomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Katarzyna Uznańska: Ziemią wypełnisz jej usta

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią. Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Na żydowskim Kazimierzu czają się one tuż pod powierzchnią życia, wystarczy tylko zeszkrobać nieco tynku z zaniedbanych ścian, poruszyć luźną cegłę, wejść do małego antykwariatu pełnego rupieci, by znaleźć się w innej epoce i czasie minionym. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. Struny czasu

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięciosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Joanna Łukowska: Pierwsza z rodu: Znajda

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem

dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY cykl Teatr węży, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienie* oraz *W mocy wichru*.

Dariusz Kankowski: Płacz przodków

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemżeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Marek Hemrling: Pilon i Synowie

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pilon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem „Łagodny Olbrzym” wciąż drzemał ukryty w cieniu „Dominium”...